

Mariusz Kwiatkowski



Mariusz Kwiatkowski

PEŁZACZ

© Copyright by Mariusz Kwiatkowski & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Paulina Żuchowska
ISBN 978-83-63080-82-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

1

Szli całą grupą, żartując z siebie i przekrzykując się wzajemnie. Najgłośniej śmiał się Robert Astor. Co chwila puszczał oko do ślicznej Mary Bromley, poszturchiwał ją, próbował obejmować. Owszem, pozwalała mu... Lubiała przekomarzać się z chłopakami, lubiała zawracać im w głowach. Miała opinię pierwszej flirciary w szkole. A wyglądała niewinnie niczym świeżo narodzone niemowlę. Adam Winklis patrzył na tę scenę krzywym okiem. Wcale mu się to nie podobało. Miał swoje ciche plany wobec Mary. Nie zamierzał z nich rezygnować. Problem tylko w tym, że nikt o nich nie wiedział. Był chłopcem chorobliwie nieśmiałym. Lękał się nieznanym ludzi. Bał się wypowiadać, gdy słuchało go kilka osób. Zazdrościł Robertowi tupetu, a po cichu go nienawdził. Anna Sanders przyglądała mu się z politowaniem, a poniekąd rozbawieniem. Nie miała w sobie nawet części uroku ślicznej panny Bromley. Przygnała ją tutaj ciekawość, chęć poznania nieznanego. Lubiała odkrywać tajemnice. Lubiała rzeczy dziwne. Uważała, że każdy problem, nawet najbardziej zagadkowy, jest zawsze do rozwiązania. Nie na darmo uchodziła w szkole za geniusza w dziedzinie fizyki.

Wszyscy mieli po czternaście lat. W tym roku kończyli ósmą klasę.

Tak naprawdę nikt z nich nie pamiętał, komu pierwszemu przyszedł do głowy pomysł odwiedzenia starej Margaret Nelson. Oczywiście początkowo się wahali, ale w końcu ciekawość zwyciężyła. Na wszelki wypadek zebrali wszystkie możliwe informacje o staruszce. Lepiej przecież z góry było się przygotować na to, co może nastąpić. Niewiele się dowiedzieli. Z tego co

usłyszeli, wynikało, że pani Nelson od dawna zaprzestała wrózenia i udzielania porad. Wycofała się z życia publicznego. Stroniła od ludzi. Jedynymi osobami utrzymującymi z nią kontakt byli szeryf oraz listonosz, który unikał, jak diabeł święconej wody, zagładania do domu pani Nelson. Nie chciał nawet o tym słyszeć. „Ona sprowadza na ludzi nieszczęście” – mówił, gdy ktoś mu to proponował.

– Winklis – roześmiał się Robert Astor. – Winklis, przyznaj, że już trzęsiesz tyłkiem. Przyznaj, że masz majteczki pełne strachu...

Winklis poczerwieniał. Pragnął znaleźć odpowiednią ripostę, lecz nic mu nie przyszło do głowy. Mary zaszczebiotała radośnie. Ten szczebiot do reszty wytrącił go z równowagi...

Poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Nie przejmuj się nimi, Adamie – wtrąciła Anna Sanders. – Oni wyłącznie z wyglądu przypominają dorosłych ludzi.

– Wcale nie – odzyskał głos w gardle – przecież nie poszedłbym z wami, gdyby było inaczej...

Zamilkli, bo spoza gęstych wiekowych drzew, kładących swymi pniami i potężnymi konarami mroczny cień na ziemię, wyłonił się dom Margaret Nelson.

– To tutaj – szepnęła Mary. – Mój Boże – dodała – jak tu ponuro. Lepiej tam nie idźmy...

– Zwariowałaś – odparł Robert. – Jesteśmy za blisko, aby zrezygnować. Zresztą czego tu się bać...

– Podobno potrafi rzucić urok – szepnęła ponownie Mary. – Podobno ma złe oko...

– To takie głupie gadanie – uspokoiła ją Anna.

Stali przez moment nieporuszeni, uważnie obserwując domostwo, uważnie rozglądając się na wszystkie strony. Pierwszy przemógł się Astor. Przybliżył się ostrożnie do furtki, pociągnął za zamek. Ostre zgrzytnięcie zardzewiałego żelaza przypawiło ich o mimowolny dreszcz ...

Nagle trzasnęły drzwi wejściowe do domu. Na progu stanęła Margaret Nelson. W dłoniach trzymała najprawdziwszą strzelbę. Nim ktokolwiek zdążył coś zrobić, wystrzeliła z niej w powietrze.

Była wysoka, chuda i bardzo stara. Długie siwe włosy opadały falami na ramiona, oczy płonęły gorączkowym blaskiem.

– Czego tu?! Przeklęta hołoto!– wrzasnęła.– Wynoście się stąd do wszystkich diabłów, bo za chwilę nie poznają was nawet rodzice. Wynoście się wy zafajdane, zasmarkane bachory! Wynoście się! Słyszycie?

Stalicicho jak myszki, przerażeni wybuchem gniewu straszliwej staruchy. Umilkła, lecz nie spuszczała z nich oczu. Strzelbę trzymała wciąż przygotowaną do strzału.

Pierwszy przemógł się Robert Astor.

– Nie chcemy nic złego, proszę pani– oznajmił.– Przyszliśmy po to, aby, aby...

Nie wiedział, jak to powiedzieć...

Ale starucha już wiedziała. Zawsze wiedziała, co się dzieje w głowach innych. Ta umiejętność stanowiła zarazem jej skarb i przekleństwo. Skarb, bo dzięki niej dorobiła się pieniędzy; przekleństwo, gdyż przez nią ludzie zaczęli się jej bać. Z czasem poznała rzeczy, które na zawsze pozbawiły ją szacunku do rasy ludzkiej.

Była starą, zniechęconą powszechnie kobietą. Nic nie potrafiła na to poradzić.

Od kilku lat, to znaczy od czasu, gdy przekroczyła osiemdziesiątkę, pragnęła wyłącznie spokoju. Na próżno. Zawsze znalazł się jakiś napaleniak, próbujący się dowiedzieć, co go w przyszłości spotka. Najgorsze były dzieci. Zakradały się wieczorami pod okna, rzucały w nie kamieniami, a gdy nie wytrzymała, gdy wybiegała drżąc z nerwów na ganek, wtedy ciskały w nią ogryzkami i innymi świństwami. „Ty nawiedzona, przeklęta czarownico– drwiły, przekrzykując jedno drugie– wynoś

się do piekła. Wynoś się tam. Wynoś się do Salem...” Wreszcie kupiła sobie broń. Gdy postrzeliła w nogę dziesięcioletniego Geralda Thompsona, przestali ją nachodzić. Stało się to całkiem niedawno. Wcale nie była pewna, czy rzeczywiście zyskała sobie ów wymarzony spokój...

– Czego?– warknęła, nie opuszczając broni.

Patrzyli po sobie, nadal zakłopotani i przerażeni.

– Słyszeliśmy, że pani potrafi powiedzieć człowiekowi, co go spotka– zagadnęła miłym spokojnym głosem Anna Sanders.– Interesują nas te sprawy, dlatego tu przyszliśmy...

Starucha pokiwała głową. Oparła się o strzelbę.

Ostatecznie mogła z nimi pogadać. Tak rzadko miała okazję otworzyć do kogoś usta.

– Już nie robię takich rzeczy– odparła.– To za dużo kosztuje. Wam też nie pomogę. Wynoście się stąd. Nikogo nie potrzebuję. A już zwłaszcza zasmarkanych gówniarzy!

– Nie jesteśmy gówniarzami, proszę pani– zaprotestował Robert Astor.– My naprawdę nie chcemy nic złego...

Spoglądała na nich, uśmiechając się lekko. Później gdy przypominali sobie ten zagadkowy uśmiech, przenikały ich ciarki.

– Dobrze– oznajmiła– porozmawiam z wami. Chodźcie tutaj. Chodźcie do środka... Chodźcie do starej Margaret Nelson...

Robert Astor ruszył pierwszy. Popatrzył na zarośla, na pokrzywy zarastające ogródek... Naraz przypomniał sobie słowa ojca, że to przeklęte miejsce, złowrogie miejsce... Poczł wewnętrzny niepokój. Zaprzagnął się wycofać. Ale nie mógł już tego uczynić, nie narażając przy tym na szwank swego honoru.

Szedł do przodu, miną nadrabiając brak pewności.

Margaret Nelson patrzyła na niego tak, jakby dobrze o tym wszystkim wiedziała. Gdy był blisko staruchy i spojrział na jej twarz, dostrzegł głębokie bruzdy i zmarszczki. Wzrok jego

przyciągnęły zielone, pozbawione wyrazu oczy, wyblakłe już, załamane.

Pani Nelson odwróciła się, niknąc po chwili w holu.

Poszli za nią.

Był to posępny dom. Jeden z tych mrocznych domów, w których nikt by sobie nie życzył mieszkać sam. Stały tam rozliczne staroświeckie meble, pokryte kurzem i pajęczyną. Błyskało lustrem olbrzymie zwierciadło w srebrnych ramach. Wisiały zagadkowe portrety. Majaczyły wypchane zwierzęta.

Światło zdawało się igrać z tymi wszystkimi przedmiotami, otaczając je delikatną mgiełką promieni.

– Wejdźcie tutaj– dłoń pani Nelson, zakończona ostrymi powyginanymi paznokciami, zatoczyła łuk wskazując dębowe wielkie drzwi.

Był to duży pokój o małych oknach. Panował w nim mrok, a meble były ledwo co widoczne. Pomimo to dostrzegli w kącie wypchanego kota, zauważyli też na ścianie głowę jelenia z wielkimi rogami.

Margaret Nelson posadziła ich przy okrągłym stole. Włączyła stojącą na nim lampkę. W oczach jelenia błysnęło światło barwiąc je czerwienią.

Co ja tutaj robię– pomyślała Anna Sanders.– To wygląda zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam.

Zastanawia się, po co tutaj jest– przemknęło staruszce przez głowę. Słyszała myśli każdego z nich. Słyszała ich pytania, słyszała nadzieje i wątpliwości. Uśmiechała się sama nad ich trywialnością, czasami nawet głupotą. Jednak wszystkie one czarowały jakąś naiwną bez troską.

– Czy to prawda– zapytała Anna Sanders– że pani czyta w myślach i zna przyszłość?

– Owszem– zaśmiała się Margaret Nelson.– Ty na przykład zachodzisz w głowę, po co tutaj przyszłaś...

Dziewczyna zbladła.

– Tak – kontynuowała starucha – potrafię takie rzeczy, ale ich zaprzestałam. Zbyt wiele wynikało z tego nieszczęścia dla mnie i dla innych!

– Jak to? – zdziwił się milczący dotychczas Adam Winklis.

– Bo od tego co mówię, nie ma ucieczki. Gdy komuś przepowiem śmierć, to ona go dopadnie. Gdy rodzicom, mającym schorowane dziecko, oznajmię, że nie ma dlań najmniejszego ratunku, to tego ratunku nie będzie... Rozumiecie teraz?

Przytaknęli.

– Skąd u pani takie zdolności? – spytała Mary Bromley.

– Nie wiem – odrzekła. – Od zawsze byłam inna... Od zawsze się różniłam. Czasami nawet nazywali mnie odmieńcem... To przyszło do mnie samo. Urodziłam się z tym. Ciężko z takimi zdolnościami żyć, naprawdę ciężko...

– Nie wierzę w te rzeczy – oznajmiła poważnym tonem Anna Sanders. – Nauka twierdzi, że to niemożliwe. Czy może pani na przykład powiedzieć, co mnie spotkało przedwczoraj?...

Spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Pokręciła przecząco głową.

– Nie mogę – oznajmiła.

– Jak to? – zdziwiła się Anna – przecież pani mówiła, że...

– Mówiłam prawdę. Słyszę ludzkie myśli. Słyszę je wyraźnie. Ale aby poznać przyszłość lub przeszłość jakiejś osoby, muszę ją złapać za rękę... Wtedy widzę wszystko...

Anna wyciągnęła dłoń.

– Proszę – rzekła. – Trochę się boję...

– Nie ma potrzeby – odparła Margaret Nelson. – Jesteś jeszcze taka młoda. Wszystko przed tobą...

Uchwyciła jej palce. Oczy staruszki jakby uciekły w głąb siebie, jakby w coś się zapatrzyły.

– Pokłóciłaś się z ojcem – stwierdziła. – On nie dał ci pieniędzy, które wcześniej obiecał. Ty ich pragnęłaś, bo chciałaś za nie kupić prezent urodzinowy koleżance. Więc się zdenerwowałaś... Potem było ci przykro, gdyż kochasz swojego tatę...

– To prawda – szepnęła Anna. – A przyszłość?

Starucha uśmiechnęła się. Zawsze ją o to pytali. Lubiała nawet ten moment. Lubiała, gdy do jej głowy wpływały obrazy o zaręczynach, o ślubach... Tylko raz, ten jeden jedyny przekłety raz zdarzyło się inaczej... Tylko ten raz przestała nad sobą panować... Tylko ten raz...

Pochwyciła mocniej dłoń dziewczyny.

I nagle to poczuła. Podobne uczucie jak wtedy. Przestrzeń zawirowała, zaczęła uciekać i nabrzmiewać... Już wiedziała, że się od tego nie uwolni. Zło nadciągało do jej domu potężnymi falami, nadciągało ze wszystkich stron. Była bezradna, była bezwolna niczym puszek na wietrze. Nie potrafiła tego powstrzymać...

Palce Margaret Nelson naraz z całej siły wpiły się w nadgarstek Anny. Dziewczyna jęknęła z bólu. Odruchowo szarpnęła ręką, aby ją wyrwać – nie dała rady. Wszyscy spostrzegli, że coś się zmieniło... Z ust starej kobiety wypłynęły słowa. Syknęły i zamarły. Nie zrozumieli ich znaczenia. Przeraziła ich raptowna zmiana barwy głosu pani Nelson.

– ON pełźnie – jęczała kobieta. – Jest coraz bliżej. Nie ma dla ciebie ratunku... Zginiesz... Zginą inni... Przyjdą straszliwe dni do Snow Hills... Zginiesz, Anno Sanders... Wszyscy zginiecie... ON już pełźnie...

Ryknęła straszliwym wibrującym śmiechem.

Przeżrana Anna Sanders wyrwała dłoń. Poderwała się od stołu... Wybiegła z domu, wciąż słysząc w uszach szatański chichot. Za nią pędziła pozostała trójka. Zatrzymali się hen za siedzibą staruchy, gdy im zabrakło w piersiach tchu.

– Przekłeta stara jędza – powtarzał raz po razie Robert Astor. – Przekłeta stara jędza, tak nas nastraszyła...

Anna Sanders wciąż była blada.

Mary Bromley drżała z nerwów.

Adam Winklis milczał

– Co z wami?– głośno parsknął Astor.– Przestraszyliście się jednej pomyłonej staruchy? Zadrwiła z nas. Udało jej się. To bzdury! Słyszycie? To nędzne bzdety. Nikt przy zdrowych zmysłach w to nie uwierzy. Pieprzona stara jęcza!

– Tak– stwierdziła wciąż przejęta Anna Sanders– to idiotyzmy. Nigdy nie słyszałam czegoś równie niedorzecznego. Tylko skąd ona wiedziała o mojej awanturze z ojcem?

Popatrzyła na nich. Nikt jej nie odpowiedział.

2

Klub „Piękny Amerykanin” był dosyć duży i znany w mieście. Mieściły się w nim salon ćwiczeń kulturystycznych, sala treningowa boksu, sauna, niewielki basen, sklep spożywczy i całkiem przyjemna kawiarnia.

Dyrektorem ośrodka był trzydziestopięcioletni Jacob Mortimer. Przystojny wysoki brunet, na pierwszy rzut oka wzbudzający sympatię i zaufanie. Oto facet – mówił ktoś, kto go widział po raz pierwszy – któremu można zaufać. Jacob miał jasne niebieskie oczy o ciepłym wyrazie i ujmującym uśmiech.

Tego dnia siedział w kawiarni wraz z Tedem Mertonem, trenerem bokserów, i prowadził z nim trudną rozmowę.

– Posłuchaj, stary! – mówił dopijając już drugą pepsi-colę – to fakt, że jesteśmy przyjaciółmi, to prawda, że niegdyś mi pomogłeś, wyświadczając ogromną przysługę... To wszystko szczerą prawdą. Wiem to do ciężkiej cholery! Zrozum jednak! Czasy są ciężkie. Dłużej na forszę czekać nie mogę. Jesteś mi winien dwa tysiące baksów. Co mam zrobić? Wyrzucić cię na bruk wraz ze wszystkimi ludźmi? A może jutro kupić sobie kombajn, wyjechać w pole, obsiać je pszenicą? W okolicy jest wystarczająco dużo farmerów. Nie zamierzam dołączyć do ich grona! Słyszysz? Nie zamierzam...

Ted westchnął. To był trudny rok. Zaczął się bardzo pechowo, gdy jego zawodnik wagi ciężkiej, Tony Whittier, przegrał swoją pierwszą poważną walkę w Nowym Jorku. Przegrał tak, że chciało się usiąść i zapłakać. Owszem, zapowiadał się ciężki okres. A był dopiero marzec.

– W przyszłym tygodniu ci oddam, Jacob– oznajmił.– Możesz być tego pewien...

– Dobrze... Tyle jeszcze wytrzymam...

Nie patrzyli sobie w oczy. Byli dobrymi przyjaciółmi. Rozmowa każdemu z nich sprawiała dużą przykrość.

Ted, znacznie wyższy od Jacoba, znacznie mocniej zbudowany, był blondynem. Miał twarz starego poczciwca i smutne brązowe oczy. Z wyglądem kolidował jego charakter. Merton potrafił wybuchnąć nerwami tak gwałtownie jak wulkan lawą. Stawał się wtedy nieobliczalny. Lepiej było schodzić mu z drogi w takich momentach...

– Co słyhać u twojej pięknej żony?– spytał.

– Wciąż to samo. Frances nadal opiekuje się Sandrą. Gdy córeczka podrośnie, Frances może wróci do pracy...

– Macie już niezłą gromadkę! Dwóch chłopców... trzy dziewczynki. Czasami ci zazdrozczę...

– Mógłbyś pomyśleć o założeniu rodziny. Lata wciąż uciekają. Straciłeś tyle okazji. Chcesz do końca pozostać kawalerem?

–Nie narzekam. Przyzwyczailem się. Kobiety uwielbiają sterować mężczyznami, zwłaszcza żony... Chyba bym tego nie zniósł...

Mortimer roześmiał się głośno.

– To wszystko przez twoją mamę– oznajmił kręcąc głową.– Była z niej zacna kobieta, ale trzymała cię twardą ręką, naprawdę twardą. Widocznie nosisz w sobie obawę, że spotkasz podobną...

– Możliwe– odparł Ted.– W każdym razie dobrze mi z samym sobą. Mógłbyś do mnie przysłać swoich chłopaków. To prawdziwi zabijacy. Chyba poszli charakterami we Frances, bo ty nie przepadałeś za awanturami. Zawsze musiałem cię bronić...

Jacobs ponownie się roześmiał.

– To prawda– przyznał.– Muszę już wracać. Pamiętaj o swojej obietnicy.

Wstał od stołu. Kiwnął głową na pożegnanie osiemnastoletniej Ewie Carroll, ładnej i miłej blondynce, pracującej za ladą. Wyszedł przed budynek. Nim wsiadł do samochodu, rocznego forda Taurusa o pięknej stalowej barwie, rozejrzał się po Dark Street, zapalił papierosa.

Była to cicha ulica, niezbyt ruchliwa, leżąca już na peryferiach Snow Hills, otoczona drzewami, za którymi rozciągało się osiedle ładnych domków.

Miasteczko liczyło sobie pięć tysięcy mieszkańców. Większość z nich utrzymywała się z hodowli zwierząt i rolnictwa. Było parę zakładów produkcyjnych, w tym znana firma Victora Cadogana – „The Raven” – zajmująca się wyrobem trumien i rozprawdzaniem ich na całą okolicę, a nawet stan. Było też kilka ośrodków usługowych, a zwłaszcza olbrzymie biuro Richarda Bromleya, pośredniczące w handlu nieruchomościami.

Ale największe znaczenie w Snow Hills miały potężne rody Astorów, Wardów i Vernonów. Ich ziemie, wtłoczone pomiędzy rozległe połacie równin, zajmowały nie tylko teren równinny, obejmowały również pierwsze wzniesienia Gór Skalistych wraz z pięknymi jeziorami i rzekami.

Były to okolice budzące zdumienie i zachwyt swoją przyrodą, nieskalaną jeszcze cywilizacją człowieka. Mogłeś wędrować całymi godzinami, nie spotykając na nich żywej duszy. Mogłeś odnaleźć posępne uroczyska, o których nawet ci się nie śniło. Bywało, że stawałeś w leśnej głuszy przy wodospadzie lub nad leśnym strumieniem, i pragnąłeś zostać tam na wieczność, oczarowany urokiem tego miejsca. Czasami trafiałeś na zapomnianą mogiłę, patrzyłeś w milczeniu i zadumie na drewniany krzyż, ale nie potrafiłeś odczytać wyrytych na nim liter, bo zatarły je wichry, deszcze i zamiecie. Domyślałeś się tylko, że mo-

że to mogła jednego z tych śmiałków, co niegdyś przemierzali Dziki Zachód w poszukiwaniu złota...

Ale mało kto o tym pamiętał.

Astorowie zajmowali się hodowlą bydła i uprawą kukurydzy, a także pszenicy. Wardowie mieli o wiele mniejsze tereny, za to prosperowali najlepiej, hodując indyki. Zwłaszcza w listopadzie ich konta bankowe zasilały strumienie pieniędzy. Natomiast Vernonowie popadli, ku radości konkurentów, w problemy finansowe, zadłużyli się na potężne sumy w bankach, i zostali zmuszeni do sprzedaży ogromnych stad krów i okazałych połaci swoich ziem. Część rodziny wyemigrowała do większych miast, zostało tylko dwóch mężczyzn, dwóch samotnych braci, szukających w kieliszku zapomnienia...

Ich domostwo, niegdyś piękny budynek otoczony wysokimi drzewami, chylił się powoli ku ruinie. Nie było zainteresowanych kupnem. Być może z powodu opowieści o starym Kirku Vernonie, który dowiedziawszy się o bankructwie, wpadł w szal, zastrzelił swoją żonę, a potem się powiesił. Ludzie gadali między sobą, że wieczorami, przy księżycowych nocach, widują jego zjawę...

Ale były to tylko opowieści. Ziemie Vernonów, ciche teraz i odludne, położone z dala od Snow Hills, czekały na nowego właściciela.

Jacob Mortimer skończył palić papierosa, przydeptał niedopałek butem, wsiadł do auta, niedawno jeszcze swojej dumy i prawdziwego oczka w głowie. Potrafił opowiadać o nim godzinami. Mogło się nawet wydawać, że opanowała go jakaś psychoza. Jednak miesiące pędziły do przodu, Jacob przyzwyczał się do swojej maszyny, wreszcie mu spowszedniała. Zaczynał myśleć o kupieniu nowej. Samochody stanowiły jego prawdziwe hobby. Zmieniał je bardzo często, ale każdy z nich na początku wydawał mu się tym jedynym i niezastąpionym.

Ruszył. Minął starą bibliotekę miejską, w której urzędowała sfiksowana pięćdziesięcioletnia panna Emily Bronks, kobieta, jak to mówiła jego żona, znajdująca się w permanentnym rozstroju nerwowym... Emily Bronks... przykra, złośliwa, dokuczliwa...

Jednak pragnął wypożyczyć książkę o funduszach powierniczych, a wiedział, że taka znajduje się w wypożyczalni.

Zatrzymał forda i wysiadł.

Biblioteka mieściła się w starym podupadłym budynku. Czas doprawdy był najwyższy na to, aby ojcowie miasta o nim sobie przypomnieli. Mortimer szarpnął za kłamkę, drgnął, gdy drzwi nieprzyjemnie zatrzeszczały, po czym wszedł na ciemny korytarz. Po obu jego stronach wisiały na ścianach, schowane za szklami drewnianych gablot, okładki najnowszych książek, ale ciężko było w mroku dostrzec ich tytuły.

Jacob wszedł do pomieszczenia, w którym urzędowała panna Bronks. Kichnął. Kurz, unoszący się w powietrzu, był jedną z przyczyn, trzymających go na co dzień z dala od tego miejsca.

Lecz na Emily Bronks nie czynił najmniejszego wrażenia.

Bibliotekarki nie było przy biurku, najwidoczniej coś robiła pomiędzy regałami. Mortimer obrzucił je wzrokiem, a potem kaszlnął, dając tym samym do zrozumienia, że nie ma za wiele czasu...

Panna Bronks wyszła zza regału.

– Słyszę, że pan jest – stwierdziła. – Przecież grzmi pan z nosa jak z armaty.

Była to bardzo szczupła kobieta, wręcz chuda. Na jej głowie zostało niewiele włosów, zupełnie już siwych. Twarz o ostrych rysach szpeciły ogromnych rozmiarów okulary, o szklach tak grubych, że nie pozwalały dojrzeć oczu. Pomiedzy nimi tkwił potężny, haczykowany nos.

– Bardzo dużo tutaj kurzu, proszę pani... pokręcił Mortimer głową. – Powinna pani częściej otwierać okna...

Panna Bronks wydeła policzki, przymrużyła oczy.

– To moja sprawa, młody człowieku– oznajmiła.– Proszę mnie nie pouczać...

Ty zgryźliwa, pieprzona babo– pomyślał Jacob– oby cię szlag trafił jak najprędzej. Jesteś nie do życia... Jesteś prawdziwą zakałą...

– Chcę pożyczyć książkę o funduszach powierniczych– powiedział głośno.

– Zaraz– chrząknęła panna Bronks niknąc pośród regałów.

Do końca pracy zostało jej tylko pół godziny. Przed chwilą spodziewała się, że doczeka go w świętym spokoju, którego żaden czytelnik nie naruszy swoją osobą. Tak już miała dosyć książek, brudnych książek pokrytych kurzem, zaświnionych odbiciami rąk setek osób. Co prawda mieszkańcy Snow Hills nie czytali dużo, można nawet by stwierdzić, że czytali wręcz mało, jednak nadrabiały to z nawiązką dzieci.

Panna Bronks nie cierpiała bachorów. Nie cierpiała ich śmiechów, pokrzykiwań. Tak, praca w bibliotece stanowiła dla niej prawdziwą karę za grzechy, ale na żadną inną nie mogła liczyć... Musiała się męczyć...

– Proszę– rzuciła książkę na blat, przymrużając złośliwie oczy.

„Co za wstrętne babsko”.

– Do widzenia– rzekł głośno wychodząc.

Musiał jeszcze odwiedzić pastora Jacksona i wręczyć mu datki na parafię. Robił tak co pół roku i sądził, że to w zupełności wystarczy. Ostatecznie wielebny nie miał tak dużych potrzeb. W zeszłym roku skończył remont kościoła, a póki co nic nowego na horyzoncie jeszcze się nie pojawiło.

W Snow Hills były tylko dwa wyznania: rzymskokatolickie i protestanckie. Oba kościoły współżyły ze sobą dobrze, a pastor i ksiądz stanowili nieodłączną parę przyjaciół. Ich ulubionym zajęciem było wspólne łowienie ryb. Wyruszali co tydzień na

jedno z pobliskich jezior, delektując się tam ciszą oraz spokojem.

Jacob Mortimer prowadził samochód powoli. Do głowy przyszły mu ponownie tamte myśli, o których pragnął zapomnieć, raz na zawsze wyrzucić je ze swojego wnętrza. Pamiętał je bardzo niewyraźnie, pamiętał je, jak gdyby pomiędzy jego obecnym umysłem a tamtymi wydarzeniami rozsunęła się gęsta mgła. Lecz jedno przypominał sobie nadzwyczaj dobrze... mianowicie towarzyszący mu na każdym kroku strach. Małemu wrażliwemu chłopcu, którym wtedy był, wydawał się on czymś bardzo konkretnym i namacalnym. Przychodził najczęściej wieczorami, gdy dorośli szli spać, a Jacob zostawał sam w dziecięcym pokoiku...

Meble wyglądały już inaczej niż za dnia, przeistaczały się w rzeczy groźne i nieznane. Za skrzypiącymi drzwiczkami szafy rozwierały się prawdziwe ciemne przepaście prowadzące do piekła... czarne mroczne tunele... Do okien, pokrytych oślizgłą rosą, przylegały posępne twarze...

Jacob wiedział, że coś powinno nastąpić, że coś musi nastąpić. Nie próbował nawet się zastanawiać co, gdyż wydawało się to zbyt przerażające...

Którejś nocy, pozostawiony sam sobie i jak zwykle przerażony, miał po raz pierwszy sen, sen tak straszliwy, tak złowrogi, że przebudził się z niego z krzykiem, rozgrzany i zlepiony potem...

Makabryczny sen powtarzał się przez wiele miesięcy, ale w końcu zniknął...

Jacob Mortimer już dawno zapomniał był o tamtych dziecięcych strachach i niepokojach, jakież więc było jego zdziwienie, gdy ubiegłej nocy upiorny majak doń powrócił i przeraził go nie mniej, niż za tamtych dawnych lat...

Sen w niczym się nie zmienił. Jota w jotę powtórzyło się to samo, co niegdyś...

Wyjechał wraz z ojcem na parę dni pod namiot. Jechali do miejsca, zwanego „Cichą Doliną”. Rosły tam przepiękne lasy, otaczające niewielkie jezioro i wypływający z niego strumyk. Była to cudowna okolica, ulubione miejsce Jacoba. Pływał tam godzinami, a wieczorami łapał ryby.

Rozbili namiot na niewielkiej polance.

Wieczorem ojciec prędko zasnął, ale Jacob nie mógł, gdyż coś go niepokoiło. Za ścianą namiotu słyszał tajemniczy szelest. Próbował obudzić ojca, lecz ten spał w najlepsze, nie zwracając na nic uwagi.

Wtedy Jacob pomyślał, że nie będzie tchórzem. Na wszelki wypadek włożył za pas ostry myśliwski nóż, po czym z latarką w dłoni wyszedł na zewnątrz...

Noc była jasna, rozjaśniona gwiazdami... Nie potrzebował wcale światła, aby widzieć wyraźnie drzewa, a w dali skaliste zbocze urwiska.

Jednak coś się zmieniło.

Zawsze – jak to określał – gadały ze sobą najróżniejsze zwierzęta. Jeśli się dobrze wsłuchałeś w leśne szmery, to rozpoznałeś głosy sów, puszczyków, pluskanie ryb i setki innych, nieznanym odgłosów.

Ale w tej chwili było cicho, przeraźliwie cicho... W powietrzu zdawała się wisieć jakaś groźba! Noc gęstniała, nabierała kształtów, przeistaczała się, wyciągała ramiona, aby pochwycić w nie ofiarę...

Nagle zabrzmiał krzyk. Przedarł ciszę tak, jak smagnięcie batem rozcina skórę... Przedarł ją i wywołał za sobą orgię dźwięków. W mgnieniu oka rozpętało się piekło... W jednej chwili zerwał się wiatr, zawył ze świstem, targnął drzewami, uderzył w namiot...

Przerażony Jacob, nie potrafiący odkryć skąd dobiegł okropny wrzask, ruszył pędem do namiotu, chcąc w ramionach

ojca znaleźć ratunek. Rzucił się ku wejściu, prawie w nie zanurkował i wtedy...

I wtedy światło latarki, nawet nie pamiętał, że trzyma ją w dłoni, objęło wewnątrz namiotu...

Pierwsze co dostrzegł, to przeraźliwe czerwone oczy bestii pochylonej nad jego tatą... Głowa ojca była... była czerwona od krwi... Błyszczące ciało tego czegoś zniknęło w dziurze, a łeb, zakończony czerwonymi mackami wił się, syczał i... i odwrócił do niego...

W tym momencie się budził.

Tak wyglądał ów przekłęty sen. Mortimerowi zdawało się, że już dawno się odeń uwolnił, przecież z takich rzeczy się wyraasta... A teraz... A teraz majak powrócił.

Wraz z nim powróciły – trzydziestopięcioletniemu mężczyźnie mającemu własną rodzinę trudno było się do tego przyznać – niepokój i lęk. Jacob przypomniał sobie tajemniczą śmierć ojca, którego odnaleziono w rejonie „Cichej Doliny”. Oficjalnie śmierć jego uznano za nieszczęśliwy wypadek. Podobno potknął się o wystający korzeń i zwałił w dół z urwiska. Nikt nie wątpił w tę wersję. Jednak sen...

Jacob westchnął.

Może lepiej o tym nie myśleć.

Skręcił w dojazd prowadzący do plebanii, zatrzymał samochód. Pastor krzątał się przy ogródku, swoim oczku w głowie. Poświęcał hodowanym przez siebie roślinkom wiele czasu, osiągając znakomite efekty. Uwielbiał, jak każdy, kto ma hobby, opowiadać o swoim zajęciu.

Albert Jackson był postawnym, wysokim mężczyzną w wieku sześćdziesięciu lat. Trzymał się prosto, miał bujne siwe włosy i pogodne brązowe oczy. Chodził dziarskim krokiem, a gdy z kimś rozmawiał, patrzył zawsze rozmówcy prosto w oczy. Zatrudniał gospozię, panią Sarę Dowson, która parę razy w tygo-

dniu dochodziła na plebanię. W obowiązkach duszpasterskich pomagał mu młody duchowny, Martin Harris.

Pastor Jackson podniósł dłoń do oczu, gdyż słońce pomimo późnej godziny przypiekało dosyć ostro, i spojrzął na gościa.

– Jacob Mortimer– zawołał.– Przyjemnie, że mnie odwiedziłeś...

– Dzień dobry– odparł.– Zrobił się prawdziwy upał...

– Tak. Przyjdzie gorące lato tego roku... bardzo gorące...

Może zajdziemy na plebanię?

– Nie. Ja tylko na chwilę! Jak zdrowie?

– Dzięki Panu wciąż dobre...

Jacob wyjął z kieszeni kopertę z pieniędzmi i wręczył pastrowi. Ten skinął lekko głową, ścisnął gościowi dłoń.

– Cieszę się, że parafia ma tak dobre dzieci... – oznajmił, przecierając ręką czoło.– Bardzo się cieszę. Nasze miasteczko jest niewielkie, oddalone o wiele mil od wszelkich ośrodków. Może dzięki temu nie zaginęły w nim dobre obyczaje, a ludzie są nadal przyzwoici...

– To prawda– przyznał Jacob.– Zgnilizna do nas nie dotarła...

– Słyszałeś ostatnią nowinę?

– Nowinę? jaką nowinę?

– Ktoś zainteresował się ziemią Vernonów. Podobno przyjedzie w tym miesiącu ją obejrzeć...

– To chyba plotka...

– Wcale nie. To prawda. Wczoraj odwiedził mnie Richard Bromley. Wiem to od niego, bo on będzie pośredniczył w tej transakcji...

– To musi być prawdziwy bogacz, ten kandydat do majątku Vernonów?...

– Niewiele o nim wiadomo. Bromley stwierdził, że to prawdziwy dziwak i ekscentryk...

– Już go poznał?